



Adam Cebula „Myśli heretyka przed Wielkanocą”

Adam Cebula



Foto: pexels.com

Mam wątpliwości, czy to dobry okres, by wypisywać takie rzeczy, ale zawsze przy okazji Bożego Narodzenia, a potem następującego po nim wyczekiwania na Wielkanoc, wracają reklamy książek pokroju „Kodu Leonarda da Vinci”, dziennikarze zaczynają się zastanawiać, czy Święta Maria Magdalena była żoną Jezusa, a bardziej tradycyjni zaczynają tylko szukać Świętego Graala.

Historia ludzi fascynuje, jeszcze bardziej fascynują ich zagadki z przeszłości. Niestety, nie od dziś brakuje fascynujących wydarzeń, którymi można porwać tak zwanego przeciętnego czytelnika. Specjalista (czy nawet badacz amator) zwykle znajdzie ich mnóstwo – ale nie statystyczny zjadacz chleba, który zwyczajnie chce się rozerwać. Dla niego trzeba czegoś mocnego, zrozumiałego w świetle potocznej wiedzy. Czegoś skandalicznego. Ot, na przykład romansu Jezusa i Magdaleny.

Zapewne dla części wierzących, albo tych, którzy uważają, że wierzą, rzecz może mieć wymiar zasadniczy. Jeśli bowiem opieramy boskość czy świętość na zachowaniu wstrzemięźliwości, to udowodnienie swego punktu widzenia ma wymiar „być albo nie być”. Nie, nie zamierzam wdawać się w ten spór. W sprawie uderza mnie coś innego. To chyba naiwność.

Ewangelia Marii ma dowodzić, że pierwszym przywódcą Kościoła po ukrzyżowaniu Chrystusa została Maria Magdalena. Ewangelia Filipa to apokryficzny tekst gnostycki przypisywany apostołowi Filipowi. Wywodzi się z niego, że Maria Magdalena miała być żoną Jezusa. Osobną sprawą jest to, że aby wyciągnąć takie wnioski z tekstów (przynajmniej znając polskie ich tłumaczenie), trzeba mieć [trzeba mieć](#) wyjątkowo [dużo fantazji](#).

Po pierwsze jednak, to najzwyczajniej w świecie nie są ewangelie. To apokryfy. Choć autorzy opowieści sensacyjnych upierają się, że ich odkrycia spowodują rewolucję na miarę tej październikowej, Kościół katolicki nie ma powodu, by się nimi zajmować. Dlaczego?

„O zaliczeniu jakiegoś pisma do kanonu biblijnego może rozstrzygnąć ostatecznie tylko żywy urząd nauczycielski Kościoła, który jest jedynym strażnikiem Objawienia.” str. 43 „Prolegomeny do Nowego Testamentu”, ks. Eugeniusz Dąbrowski, doktor teologii, doktor nauk biblijnych, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Wydanie trzecie zmienione powiększone. Toruńskie Zakłady

Graficzne. Druk ukończono w kwietniu 1960 r.

W praktyce wygląda to tak, jak możemy sobie zobaczyć w opisie cytowanej książki: potrzebne są adnotacje „nihil obstat” oraz „imprimatur”, by wydać pismo, dzieło, książkę z błogosławieństwem (niekoniecznie dosłownym) Kościoła.

Od czasu zinstytucjonalizowania Kościoła, co nastąpiło w roku 325 na Soborze Nicejskim, zapewne [trwającym od 19 do 25 lipca](#), sprawy ustawiono tak, że o prawdach wiary decydują hierarchowie. Tamże ustalono treść credo, wyznania wiary. W nim przeciwstawiono się doktrynie teologicznej Ariusza „... prezbitera Kościoła w Aleksandrii w Egipcie, odrzucająca dogmat Trójcy Świętej i wpisująca się w nurt antytrynitaryzmu, powstała w kontekście sporów o rozumienie chrześcijańskiego monoteizmu”. Za Wikipedią. Konsekwencją jest odrzucenie pism arian. [Czy je spalono?](#)

Trudno powiedzieć, lecz później już bez skrępowania traktowano tak niewygodne pisma. To osobna sprawa. Dość, że o treści Pisma Świętego decyduje hierarchia Kościoła. Jak se wykopiemy coś, to choćby pod pismem widniały podpisy dwunastu apostołów i załączone było pióro ze skrzydeł archanioła Gabriela, którym rzecz spisano, Kościół uzna (albo nie uzna – wedle swej wolnej woli).

Nie ma teologicznego problemu apokryficznych ewangelii. Bynajmniej nie można się też dziwić arbitralnemu sposobowi załatwienia sporów o świętość jakiegoś tekstu. Nie da się wprowadzić bowiem jakiegoś „obiektywnego” kryterium. Np. gdyby kierować się autorstwem, to bez trudu można wskazać potencjalną minę. A gdyby tak odnaleziono pisma św. Pawła z czasu, gdy był jeszcze Szawłem? Niestety, trzeba wziąć tekst do ręki, przeczytać i zastanowić się.

Oczywiście ów święty mąż, który siedzi nad pismem, ma problem, musi rozważyć wiele kryteriów, o których piszą z upodobaniem bibliści. Jednak, o ile Kościół chce zachować swoją strukturę, jednolitość wiary, to trzeba przyjąć wyrok za obowiązujący.

O istnieniu apokryfów teolodzy wiedzą od samego początku. Zaś to, że część z nich zaginęła, wynikała właśnie z tego, że te teksty są apokryfami. Czyli pismami powstałymi dużo później niż ewangelie, tekstami, które uznano za fantazję. Koniec, kropka.

Jednak z punktu widzenia badacza dziejów (a nie teologa) problem widać w sprawach o wiele bardziej podstawowych.

Co wspólnego z „Kodem Leonarda da Vinci” może mieć tzw. Testimonium Flavianum?

„W tej dobie ukazał się Jezus, człowiek mądry, jeśli go trzeba nazywać człowiekiem. Bo dokonał rzeczy przedziwnych, był mistrzem ludzi, co przyjmują z upodobaniem prawdę, i pociągnął wielu Żydów, a także wielu Hellenów. Ten to był Chrystusem (czyt. Mesjaszem, Zbawicielem — przyp.). Za doniesieniem pierwszych z naszego narodu Piłat skazał go na krzyż; ale ci, co go ukochali od początku, nie przestali go uwielbiać; bo ukazał się na trzeci dzień zmartwychwstałym, jak to zapowiedzieli boscy prorocy, podobnie jak tysiąc innych dziwów w jego przedmiocie. [Jeszcze dzisiaj istnieje nadal sekta, która po nim otrzymała imię Chrześcijan](#)”.

Pytanie, czy jest to najstarsze świadectwo ze źródeł nie-chrześcijańskich o życiu Jezusa? Z tego samego źródła: „...niepodobna uznać autentyczności integralnej Testimonium Flavianum. Zbyt wyraźnie zdradza ono rękę chrześcijańską” („Nowy Testament na tle epoki”, autor: ksiądz profesor E. Dąbrowski). Mówiąc krótko: Testimonium Flavianum – znajdujące się w Dawnych dziejach Izraela XVIII 63-64 Józefa Flawiusza świadectwo pisane na temat Jezusa – jest dyskusyjnej autentyczności. Żyd Józef Flawiusz nie mógł pisać w tak pochlebny sposób o kimś, kto dokonał schizmy czy też porzucił wyznanie mojżeszowe. Teorii na temat fragmentu jest całkiem sporo, jedni twierdzą, że

żyjący około IV wieku kopista (być może [Euzebiusz z Cezarei](#)) albo [Pamfil z Cezarei](#)) dopisali Flawiuszowi ten fragment. Być może w miejsce jakiegoś brzmiącego w uszach chrześcijan mocno niepochlebnie albo z braku wzmianki o tak ważnej osobie i wydarzeniach uznali, że historię trzeba uzupełnić.

Bynajmniej nie musiało chodzić o fałszerstwo. Wyobraźmy sobie, że jedziemy do Warszawy i chcemy odwiedzić Pałac Kultury i Nauki, ale mamy przedwojenny plan stolicy. Prosimy jakiegoś warszawiaka, by narysował na nim, gdzie to dziwko stoi. Kopista, który prawdopodobnie przepisywał dzieło z kolejnej kopii, mógł uznać, że jego poprzednik coś przegapił. Zaś historia Izraela bez Chrystusa jest dziurawa jak plan Warszawy bez Pałacu Kultury. Tym bardziej że to nie te czasy, gdzie klikniemy w gugla i mamy milion różnych źródeł. Trzeba uzupełnić księgę, bo będzie nic nie warta.

Jest zrozumiałe, że jeśli Józef Flawiusz napisał coś o Jezusie z pozycji żydowskiej, coś obraźliwego – tekst zastąpiono. Ale jest kilka poważnych argumentów, że pierwotnie w dziele niczego takiego nie było. Np. to, że czytelnicy Flawiusza, np. Orygenes (ok. 185-254 r.), który pewnie miał dostęp do wczesnych kopii, nie wspomina o tym urywku, a wręcz przeciwnie, nasz święty mąż, znany głównie z aktu autokastracji, zarzuca Flawiuszowi, że nie uznaje Chrystusa. Innym argumentem przytaczanym przez współczesnych badaczy jest to, że tekst o Jezusie „rozrywa na dwoje ową sekwencję narracyjną” (Zenon Kosidowski, „Opowieści biblijne” i „Opowieści ewangelistów”).

Jak się zdaje, poważnym argumentem jest szczupłość wpisu. Z jednej strony konsekwencje działalności Jezusa wydają się bardzo duże, znacznie poważniejsze niż Jana Chrzciciela, którego Flawiusz opisał, więc przez wzgląd na ciężar zagadnienia powinien poświęcić tym wydarzeniom więcej miejsca. A z drugiej strony gdyby kopista coś dopisywał, byłby ograniczony standardowym rozmiarem zwojów. Gdyby mu się skończyło miejsce, musiałby np. dołączyć nowy zwój, co zaburzyłoby oryginalną numerację ksiąg. Flawiusz jako autor mógł sobie pisać, co chciał, ale od kopisty oczekiwano kopii dzieła. Więc jeśli coś kombinował, musiał się ograniczać do kilku zdań. Argument ten przytaczam trochę dla porządku, nie wiem, jak wyglądały szczegóły techniczne czy to pracy kopistów, czy produkcji papirusów. Od siebie mogę dodać, że gdybym np. wpadł na pomysł „podrasowania” dzieła – powiedzmy Stanisława Lema – to bardzo starałbym się skracać własne produkcje z innego powodu: trzeba autora przewyższać literackim talentem, aby móc go skutecznie podrobić.

Kolejnym silnym argumentem za całkowitym sfalszowaniem Testimonium jest to, że inni żyjący w podobnych czasach i opisujący wydarzenia objęte dziełem Flawiusza także nic o Jezusie nie napisali.

Tak czy owak, trzeba przyznać, że o ile szukamy jakichś poza-biblijnych źródeł wiedzy na temat Jezusa, to mamy potężny kłopot. Jest on znany od kilku stuleci jako bijatyka o to, czy można uznać Go za postać historyczną, czy też alegoryczną. Jeśli Józef Flawiusz, który opisał kilka o wiele mniej znaczących postaci związanych z chrześcijaństwem, nie wspomniał o Jezusie, to przynajmniej trzeba się mocno zastanowić, czy ewangeliczna historia nie została przeniesiona z innego miejsca i czasu.

Talmud ma informować że rabbi Joszu ben Parahyah uciekł do Aleksandrii wraz ze swym uczniem Jezusem, aby uniknąć prześladowań króla żydowskiego Janneusza (103-76 p.n.e.) Po powrocie Jezus miał założyć sektę żydów odstępców. Jakies sto lat przed czasami Chrystusa. Za portalem racjonalista.pl „Historyczność Jezusa z Nazaretu”. Osobna sprawa, że fragment ten, którego tłumaczenie da się znaleźć w necie, bez rabina nie da się właściwie zrozumieć.

Źródła chrześcijańskie nie ułatwią nam niczego. Problem polega na tym, że ewangelie nie są biografią Jezusa, ale zbiorem przypowieści, które miały zachować jego nauki. Będziemy mieli kłopot z ustaleniem daty narodzin, bo jeśli nastąpiło to za rządów Heroda, musiało to być przed 4 r. p.n.e.,

bo Herod Wielki zmarł w 4 p.n.e. (wedle wyliczeń Jana Keplera między 12 marca a 11 kwietnia 4 p.n.e. (za Wikipedią). Przy czym jest kilka innych hipotez co do daty śmierci tej jak najbardziej historycznej postaci, niektóre przesuwają ją na 1 rok naszej ery.

Tymczasem jeśli Jezus narodził się „w okresie spisu ludności zorganizowanego przez wielkorządcę Syrii, Kwiryniusza, a więc około 6 r. n.e.” (Za racjonalista.pl). Zaś co do daty śmierci jest jeszcze gorzej, ponieważ możliwe jest, że umarł za Tyberiusza, (wersja najpopularniejsza), za Klaudiusza lub za Nerona. Problemy wynikają m.in. z porównania podanej przez Flawiusza daty śmierci Jana Chrzciciela (rok 35 lub 36) i wydarzeń z ewangelii, znanej i spisanej tradycji, m.in. sprawy [sfalszowanego raportu Poncjusza Piłata dla cesarza Klaudiusza](#).

Bynajmniej nie mam tu zamiaru stawiać po którejkolwiek stronie bijatyki o to, czy Jezus jest postacią historyczną. To prawda, że od wieków jedni usuwają (w swoim mniemaniu) sprzeczności ewangelicznych przekazów, a inni wynajdują kolejne problemy. Prawdą jest, że nie ma żadnych pewnych argumentów, które np. pozwalałyby wierzyć (lub nie) w Testimonium Flavianum. Sporu nie da się rozstrzygnąć. Jest swego rodzaju złośliwym chichotem historii, że np. wykopano w Egipcie „Księgę Umarłych”, tekst starszy od „Dawnych dziejów Izraela” o jakieś 1800 lat, Kopernik miał (ponoć?) do swej dyspozycji słynne „Elementy” Euklidesa napisane kilkaset lat przed Chrystusem, zaś kluczowe dla historii chrześcijaństwa pisma dotrwały jedynie w bardzo niepewnych odpisach.

Nie ma żadnego sposobu, by poprzez grzebanie w tekstach, porównywanie ich, wynajdywanie najróżniejszych wytłumaczeń i okoliczności uprawdopodobnić choćby tylko jakąś jedną wersję. Być może Jezus z opowieści o rabbim, który uciekł do Aleksandrii, ma coś wspólnego z Chrystusem, bardzo możliwe, że nie. Możliwe, że Orygenes zwyczajnie przegapił wzmiankę Flawiusza o Jezusie. Możliwe, że ewangelista pomylił Kwiryniusza z innym rządcą znanym jako Sencjusz Saturnin i da się rozsupłać problem daty urodzin Jezusa. Albo i nie.

Jest za to pewne, że autorzy opowieści o romansach Jezusa i Magdaleny mogą liczyć jedynie na naiwnego czytelnika. Ktokolwiek orientuje się bowiem w stanie badań nad początkami chrześcijaństwa, wie, że kłopot nie w znalezieniu rodziny Jezusa, lecz w ustaleniu czegokolwiek pewnego, łącznie z tym, czy był on postacią rzeczywistą.

Osobną sprawą jest to, skąd w opowieściach o tajemnicach początków chrześcijaństwa biorą się takie postaci jak Leonardo da Vinci (ur. 15 kwietnia 1452 r. w Anchiano, zm. 2 maja 1519 r. w Clos Lucé). Jeśli przyczepiamy go do tajemnic gnostyków czy manicheizmu, to trzeba zauważyć, że od wieków pierwszych, gdy działali arianie i tworzone apokryfy, dzieli go więcej czasu niż współczesnych neopogan od wyznawców Swarożycza. Mani, twórca manicheizmu, zmarł (albo został zabity) w roku 276 (za Wikipedią), jakieś 1176 lat przed urodzinami naszego mistrza malarstwa. Można przyjąć, że kult bóstw słowiańskich trwał przynajmniej do chrztu Żmudzi w 1413 roku, ledwie 605 lat temu.

Co mieli wspólnego Bracia Polscy zwani arianami z uczniami Ariusza, prezbitera Kościoła w Aleksandrii w Egipcie? Nasi „współcześni” byli odłamem kalwinizmu. Osobiście podejrzewam, że występujący także we Wrocławiu neopoganie więcej wiedzą o słowiańskich bożkach niż Bracia Polscy mogli wiedzieć o naukach Ariusza.

Łączenie tych ruchów z tajemnicami z czasów powstawania chrześcijaństwa jest pomieszaniem współczesnego nazewnictwa ruchów religijnych z ich rzeczywistym pochodzeniem. Trzeba nie wiedzieć, że około roku 1150 w Europie rozpoczął się heretycki ferment, który w końcu przerodził się w reformację i rozpad Kościoła katolickiego. Myślicieli z tamtych czasów nazywa się gnostykami, czy też wyznawcami manicheizmu. Nie mają oni jednak żadnej ciągłości historycznej, nie mogli więc posiadać tajemnic przekazywanych przez wieki, albo też dokumentów. Leonardo da Vinci nie mógł

mieć większej wiedzy na temat apokryfów niż my w dzisiejszych czasach, ponieważ część tych pism została odkryta dopiero w XIX i XX wieku.

Gdyby ktoś pytał, skąd bierze się taka niezwykła popularność książek i opowieści pokroju „Kodu Leonarda da Vinci”, to chętnie przypomnielibym szeroko znaną wypowiedź rzecznika prasowego pewnej partii, któremu pokręciło się powstanie warszawskie ze stanem wojennym. Bo do takiego odbiorcy w gruncie rzeczy adresowana jest ta „literatura historyczna”. Jeśli ma się w głowie taką sieczkę, to nawet dobrze się to czyta.

Adam Cebula